

ERNEST HEMINGWAY

Zaś słońce wschodzi

Przełożył Maciej Potulny

M A R G I N E S Y

The Sun Also Rises

COPYRIGHT © Hemingway Foreign Rights Trust / Hemingway
Copyright Owners

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Maciej Potulny

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

To powieść dla Hadley
i dla Johna Hadleya Nicanora

Wszyscy należycie do zagubionego pokolenia.

– Gertrude Stein podczas rozmowy

Jedno pokolenie przychodzi, a drugie odchodzi; ale ziemia pozostaje na wieki... Zaś słońce wschodzi i słońce znowu zachodzi oraz zdąża do swego miejsca, gdzie ma wzejść... Wiatr idzie, stale krążąc; idzie na południe, a zwraca się ku północy i wraca po swoich wirach... Wszystkie rzeki idą do morza, a jednak morze się nie zapętnia; do miejsca skąd wychodzą rzeki – tam wciąż wracają.

– Księga Koheleta (Nowa Biblia Gdańska)

Kiedyś, jeszcze w Princeton, Robert Cohn był bokserem wagi średniej. Niech ci się nie zdaje, że ten fakt robi na mnie szczególne wrażenie jako wyróżnik w świecie boksu, ale dla Cohna znaczył wiele. Boks nie obchodził Cohna, wręcz go mierzył, ale chłopak poznał dogłębnie i w bolesny sposób jego tajniki po to, żeby zneutralizować poczucie niższości i wstydu, które odczuwał, ponieważ na Uniwersytecie Princeton ciągle mu wypominano, że jest Żydem. Pewne ukojenie dawała mu świadomość, że mógłby znokautować każdego, kto zachowywał się wobec niego jak bufon, choć jako nieśmiały i na wskroś układny młodzieniec bił się jedynie na sali treningowej. Był ulubieńcem Kelly'ego zwanego Pajakiem. Kelly Pajak trenował każdego ze swoich młodych gentlemanów tak, by walczyli jak zawodnicy wagi piórkowej bez względu na to, czy ważyli czterdzieści siedem, czy dziewięćdziesiąt siedem kilogramów. Ten styl zdawał się jednak odpowiadać Cohnowi, który był naprawdę bardzo szybki. I na tyle dobry, że Pajak wkrótce zaczął go wystawiać przeciwko silniejszym rywalom, zatem Cohn niemal bez przerwy chodził z rozbitym nosem. Ten fakt umacniał jego niechęć do boksu, lecz jednocześnie dawał mu pewien dziwny rodzaj satysfakcji i na pewno pozytywnie wpłynął na kształt jego nosa. Ostatniego roku studiów w Princeton Cohn dużo

czytał i zaczął nosić okulary. Nie poznałem ani jednego byłego studenta z jego roku, który by go pamiętał. Nikt nie pamiętał go nawet jako mistrza boks wagi średniej.

Nie darzę zaufaniem szczerych, zwyczajnych ludzi, zwłaszcza gdy opowiadane przez nich historie trzymają się kupy, więc zawsze podejrzewałem, że Robert Cohn wcale nie zdobył tytułu mistrza wagi średniej w boksie, lecz raczej że koń nadepnął mu na twarz albo że jego matka czegoś się przelewała, zobaczyła straszną rzecz czy coś w tym rodzaju, albo że po prostu w dzieciństwie zderzył się z czymś twardym, jednak w końcu ktoś potwierdził dla mnie jego wersję u samego Kelly'ego Pajaka. Kelly Pajak nie tylko pamiętał Cohna, lecz także zastanawiał się często nad jego dalszymi losami.

Dzięki swojemu ojcu Robert Cohn należał do jednej z najbogatszych żydowskich rodzin w Nowym Jorku, a dzięki matce – do najstarszych. W szkole wojskowej, w której przygotowywał się do Princeton i udzielał się z wielkim powodzeniem w drużynie futbolowej, nikt nie wypominał mu jego żydowskiej rasy. Nie dawano mu odczuć, że jest Żydem, więc nie czuł się z tego powodu inny, dopóki nie znalazł się w Princeton. Był miłym, koleżeńskim chłopakiem, a do tego skromnym, to zaś sprawiło, że wezbrała w nim gorycz. Wyładowywał frustrację za pomocą boksowania, a z Princeton wyniósł pojęcie o swojej tożsamości kulturowej, rozbity nos oraz żonę – pierwszą dziewczynę, która okazała mu sympatię. Cohn był żonaty pięć lat, miał troje dzieci, stracił większość z pięćdziesięciu tysięcy dolarów zostawionych mu przez ojca – resztę schedy otrzymała matka – i zakrzepł w dość nieciekawym szablonie parszywego szczęścia rodzinnego u boku zamożnej małżonki; kiedy zaś zdecydował się w końcu odejść od żony, ona rzuciła go pierwsza, uciekając z pewnym malarzem miniaturzystą. Po

tym, jak przez wiele miesięcy snuł plany przerwania nieudanego związku jedynie po to, by z nich zrezygnować, uznawszy, że pozbawienie żony jego towarzystwa byłoby dla niej zbyt okrutnym ciosem, jej zniknięcie zdrowo nim wstrząsnęło.

Załatwiono formalności rozwodowe, po czym Robert Cohn udał się na Zachodnie Wybrzeże. W Kalifornii wpadł w towarzystwo literatów, a ponieważ zostało mu nieco pieniędzy z tamtych pięćdziesięciu tysięcy, wkrótce zajął się sponsorowaniem czasopisma poświęconego krytyce sztuki. Magazyn zaczął ukazywać się w Carmel w Kalifornii, a ostatni numer wyszedł w Provincetown w Massachusetts. W owym czasie Cohn – uważany powszechnie za anioła, którego nazwisko figurowało w stopce redakcyjnej zaledwie w charakterze członka kolegium doradczego – już był jego jedynym wydawcą. Bądź co bądź zainwestował w niego swoje pieniądze, a ponadto odkrył, że władza wynikająca z zarządzania redakcją sprawia mu przyjemność. Było mu żal, gdy wydawanie magazynu stało się zbyt drogie i musiał z niego zrezygnować.

Jednak wtedy już zaprzętały go inne rzeczy. Usidliła go bowiem pewna dama, która liczyła na awans społeczny dzięki czasopismu. Była bardzo zdeterminowana, więc Cohn nie miał szans nie ulec usidleniu. Zresztą zdawał się pewny swoich uczuć. Kiedy wspomniana dama zorientowała się, że czasopismo nie zapewni jej awansu, ogarnęło ją pewne zniechęcenie Cohnem i zdecydowała, że dopóki może, powinna sięgnąć po to, co jeszcze jest do wzięcia, toteż namówiła go na wspólny wyjazd do Europy, gdzie Robert mógłby się zająć pisarstwem. Pojechali więc do Europy, gdzie przedtem dama serca Cohna pobierała nauki, i mieszkali tam trzy lata. W ciągu tych trzech lat – z których pierwszy rok spędzili na podróżach, a pozostałe dwa w Paryżu – Robert Cohn zyskał dwóch przyjaciół, Brad-

docksa i mnie. Braddocks był jego partnerem literackim. Ja byłem jego partnerem do tenisa.

Dama trzymająca Cohna w garści – miała na imię Frances – pod koniec drugiego roku uznała, że jej uroda gaśnie, więc zmieniła swój stosunek do Roberta. Miejsce niefrasobliwej zaborczości i wyzysku zajęło niezwykle gorliwe dążenie do ślubu. W tym czasie matka Roberta ustanowiła dla niego rentę wynoszącą mniej więcej trzysta dolarów na miesiąc. Nie sądzę, by podczas dwu i pół roku Robert Cohn choćby spojrział na inną kobietę. Osiągnął stan szczęścia – o ile nie liczyć faktu, że tak jak wielu ludzi żyjących w Europie wolałby spędzić ten czas w Ameryce – i odkrył w sobie talent literacki. Napisał powieść, która naprawdę nie była aż tak zła, jak o niej pisali krytycy, chociaż była bardzo słaba. Czytał wiele książek, grał w brydża, grał w tenisa i boksował się w lokalnym klubie sportowym.

Pierwszy sygnał tego, jak traktuje Cohna dama jego serca, dotarł do mnie, gdy pewnego dnia udaliśmy się we troje na kolację. Zjedliśmy w l'Avenue, a potem poszliśmy na kawę do Café de Versailles. Po kawie zamówiliśmy kilka kolejek brandy i w końcu stwierdziłem, że muszę się zbierać. Cohn namawiał mnie na weekendowy wyjazd. Miał chęć na porządną wędrówkę za miastem. Zaproponowałem, żebyśmy polecieeli do Strasburga i wspięli się na Górę Świętej Otylii albo wybrali inne miejsce w Alzacji.

– Znam w Strasburgu pewną dziewczynę, która może nas oprowadzić – rzekłem. Poczułem kopnięcie pod stołem. Sądząc, że to przypadek, mówiłem dalej: – Mieszka tam już od dwóch lat i wie wszystko, co warto wiedzieć o tym mieście. Jest fajna. – Znowu zostałem poczęstowany kopniakiem. Uniosłem wzrok i ujrzałem twarz Frances, damy Roberta, z wysuniętą brodą

i coraz bardziej zaciętą miną. – Do diabła – rzuciłem. – Zresztą pal chocho Strasburg. Może być Brugia albo Ardeny.

Cohn odetchnął z wyraźną ulgą. Już mnie nie kopał. Pożegnałem się i wyszedłem. Cohn powiedział, że musi kupić gazetę, więc odprowadzi mnie do rogu ulic.

– Na litość boską – powiedział na zewnątrz. – Po co mówiłeś o tej dziewczynie ze Strasburga? Nie widziałeś Frances?

– Dlaczego? Co jej do tego, że znam Amerykankę mieszkającą w Strasburgu?

– Nie chodzi o nią. Liczy się, że to dziewczyna. Nie mógłbym pojechać, i tyle.

– Wygłupiasz się.

– Nie znasz Frances. Żadna dziewczyna nie wchodzi w grę. Widziałeś, jak na ciebie spojrzała?

– Dobra – mruknąłem. – Jedźmy po prostu do Senlis.

– Nie dąsaj się.

– Nie dąsam się. Senlis brzmi nieźle. Możemy się zatrzymać w Grand Cerf, powłóczyć się po lesie i wrócić do domu.

– Dobrze, to świetny pomysł.

– A więc do jutra na korcie – powiedziałem.

– Dobrej nocy, Jake – odparł i ruszył z powrotem do kawiarni.

– Zapomniałeś kupić gazetę – rzuciłem.

– Ach tak. – Podeszedł ze mną do kiosku przy skrzyżowaniu. – Nie obraziłeś się, prawda, Jake? – Obrócił się z gazetą w ręce.

– Nie, o co?

– Do zobaczenia na tenisie – powiedział.

Patrzyłem, jak oddala się w kierunku kawiarni, mnąc gazetę. Nawet lubiłem tego faceta, a Frances bez wątpienia trzymała go na krótkiej smyczy.

Zimą Robert Cohn udał się do Ameryki ze swoją powieścią, którą całkiem dobry wydawca przyjął do druku. Słyszałem, że jego wyjazd doprowadził do strasznej kłótni, i sędzę, że właśnie wtedy Frances go straciła, bo w Nowym Jorku kilka kobiet miło go potraktowało i wrócił stamtąd całkiem odmieniony. Mówiąc o Ameryce, ekscytował się jeszcze bardziej, nie był już taki zwyczajny, nie był też taki układny jak kiedyś. Wydawcy dość pochlebnie opiniowali jego pisaninę i ich słowa uderzyły mu do głowy. A potem tych kilka kobiet okazało mu sympatię, sprawiając, że horyzont jego świata uległ przesunięciu. Przez cztery lata absolutną granicę tego uniwersum wyznaczała żona. Przez następne trzy, albo niemal trzy, Cohn nie widział świata poza Frances. Jestem pewien, że nigdy w życiu nie czuł się zakochany.

Ożenił się, żeby zapomnieć o gównianych przeżyciach w college'u, a odkrywszy, że dla żony nie był najważniejszy, szukał pocieszenia w ramionach Frances. Jeszcze się nie zakochał, ale zdał sobie sprawę z tego, że stanowi atrakcyjną partię oraz że do poznania kobiety dbającej o jego uczucia i chcącej z nim żyć nie jest potrzebny cud. Świadomość tych rzeczy zmieniła go na tyle, że nie spędzało się już czasu w jego towarzystwie tak przyjemnie. Ponadto uczestniczył w agresywnych

partiach brydża ze swoimi nowymi znajomymi z Nowego Jorku, ryzykując zbyt wysokie stawki, na które nie powinien się godzić. Karta mu szła, więc wygrał kilkaset dolarów. Nabrał wręcz pewnej nonszalancji dotyczącej gier karcianych, twierdząc raz po raz, że człowiek mógłby utrzymać się z wygranych w brydżu, gdyby zmusiła go do tego sytuacja życiowa.

Na domiar złego naczytał się W.H. Hudsona. Brzmi to z pozoru nieszkodliwie, lecz Cohn czytał na okrągło *Purpurową ziemię*. Czytanie *Purpurowej ziemi* może mieć ponure konsekwencje, kiedy człowiek weźmie się do tego na zbyt późnym etapie życia. Powieść opowiada o wspaniałych podbojach miłosnych, których dokonuje idealny angielski gentleman w kraju o intensywnie romantycznym charakterze. Krajobrazy zostały w niej bardzo dobrze opisane, jednak dla mężczyzny, który w wieku trzydziestu czterech lat traktuje ją jak przewodnik po prawdziwym życiu, jest równie bezpieczna jak wejście na Wall Street dla wychowanka francuskiego klasztoru uzbrojonego jedynie w komplet dzieł Algiera – zresztą bardziej praktycznych niż książka Hudsona. Domyślam się, że Cohn potraktował każde słowo *Purpurowej ziemi* tak dosłownie, jakby miał do czynienia z raportem R.G. Duna. Rozumiesz? Wziął pod uwagę kilka zastrzeżeń, ale opowiedziana tam historia zdawała mu się wielce wiarygodna. Tyle wystarczyło, żeby namieszać mu w głowie. Nie zdawałem sobie sprawy z rozmiarów owego pomieszania zmysłów, dopóki pewnego dnia Cohn nie zajrzał do mojego gabinetu.

– Cześć, Robert – powitałem go. – Wpadłeś poprawić mi humor?

– Jake, chciałbyś zwiedzić Amerykę Południową? – zapytał.

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nigdy mnie nie pociągała. Za drogo. Zresztą w Paryżu możesz spotkać wszystkich mieszkańców Ameryki Południowej, jakich sobie wymarzysz.

– To nie są prawdziwi mieszkańcy Ameryki Południowej.

– Mnie się zdają bardzo prawdziwi.

Musiałem zdążyć na pociąg kursujący do portu, żeby wysłać nim pocztę z depeszami o wydarzeniach z ubiegłego tygodnia, a napisałem dopiero połowę z nich.

– Pomożesz mi wywlec jakieś ciekawe brudy? – zapytałem.

– Nie.

– Żaden z twoich wysoko postawionych znajomków się nie rozwodzi?

– Nie. Słuchaj, Jake, a gdybym tak płacił za nas obu, popłynąłbyś ze mną do Ameryki Południowej?

– Dlaczego właśnie ja?

– Bo mówisz po hiszpańsku. Poza tym we dwóch byłoby weselej.

– Nie – odparłem. – Podoba mi się tutaj, zresztą latem jadę do Hiszpanii.

– Całe życie marzyłem o takiej wyprawie – jęczał Cohn. Usiadł. – Ani się obejrzę, a będę na to za stary.

– Nie wydurniaj się – powiedziałem. – Możesz jechać, gdzie tylko zechcesz. Masz forsy jak lodu.

– Wiem, ale trudno mi się zebrać.

– Głowa do góry – pocieszałem go. – Każdy kraj wygląda dokładnie tak jak w kinie.

Było mi go jednak żal. Mocno go przypiliło.

– Nie mogę znieść myśli, że życie pędzi jak szalone, a ja nie czuję, że żyję na sto procent.

– Nikt nie czuje, że żyje na sto procent. Oprócz matadorów.

– Nie obchodzi mnie matadorzy. Ich życie jest nienormalne. Marzy mi się wyprawa w dzicz, do Ameryki Południowej. Moglibyśmy przeżyć wspólną przygodę.

– Nie przyszło ci nigdy na myśl, żeby się wybrać na polowanie do brytyjskiej Afryki Wschodniej?

– Nie, to mnie nie pociąga.

– Tam mógłbym z tobą pojechać.

– Nie. Nie dbam o polowania w Afryce.

– Bo nie przeczytałeś żadnej książki na ich temat. Spróbuj poczytać o miłosnych igraszkach z pięknymi księżniczkami o lśniącej czarnej skórze.

– Chcę jechać do Ameryki Południowej.

Miał w sobie zawzięty upór prawdziwego Żyda.

– Chodźmy na dół na drinka.

– Nie masz przypadkiem czegoś do roboty?

– Nie – powiedziałem.

Zeszliśmy schodami do kawiarni na parterze. Odkryłem, że to najlepszy sposób, by pozbyć się uciążliwych kolegów. Po wypiciu drinka wystarczyło powiedzieć: „No dobra, muszę już lecieć puścić w świat kilka newsów”, i załatwione. Opracowanie manewru wdzięcznego ułatniania się stanowi bardzo ważny element etyki w branży reporterskiej, w której tak istotne jest udawanie, że właściwie nigdy nie jesteś w pracy. A zatem zeszliśmy do baru i piliśmy whisky z wodą. Cohn popatrzył na pełne butelek kosze pod ścianą.

– Dobre miejsce – ocenił.

– Mają tu dużo alkoholi. – Zgodziłem się z nim.

– Słuchaj no, Jake. – Pochylił się nad barem. – Nie nachodzi cię czasem myśl, że życie cię omija? Że nie w pełni korzystasz z jego uroków? Dociera do ciebie, że już masz za sobą niemal połowę czasu, który został ci dany?

– Uhm, zdarza się.

– Wiesz, że mniej więcej za trzydzieści pięć lat będziemy martwi?

– Co ty pleciesz, Robert? – powiedziałem. – Co ty pleciesz?

– Mówię poważnie.

– Akurat tym się nie troskam – odparłem.

– A powinienes.

– Miałem w życiu dosyć trosk. Przestałem zawracać sobie nimi głowę.

– Cóż, mnie się marzy Ameryka Południowa.

– Wiesz, Robert, wyjazd za granicę nic nie zmieni. Próbowalem. Nie uciekniesz przed sobą, przenosząc się z miejsca na miejsce. Nic w ten sposób nie osiągniesz.

– Jednak nigdy nie byłeś w Ameryce Południowej.

– Do diabła z Ameryką Południową! Gdybyś pojechał tam w obecnym stanie ducha, czułbyś się dokładnie tak samo. Paryż to dobre miasto. Zacznij korzystać z życia tutaj.

– Rzygam już Paryżem. I rzygam Dzielnicą Łacińską.

– W takim razie tam nie chodź. Powłócz się samotnie po mieście i zobacz, co się wydarzy.

– Nic się nie wydarzy. Pewnej nocy szedłem sam i zdarzyło się tylko tyle, że gliniarz na rowerze zatrzymał się, żeby mnie wylegitymować.

– Nie podobało ci się miasto nocą?

– Mam gdzieś Paryż.

A więc to tak. Było mi szkoda Cohna, ale nic nie mogłem zrobić, bo od razu odbijałem się od muru wzniesionego przez dwie prześladowające go myśli – że Ameryka Południowa uleczy jego duszę i że nie lubi Paryża. Pierwszą z nich zaczerpnął z książki. Domyślałem się, że ta druga też wykształciła się pod wpływem lektury.

- No dobra, muszę już lecieć, puścić w świat kilka newsów.
- Naprawdę już idziesz?
- Tak, trzeba wysłać te newsy.
- Mogę posiedzieć u ciebie w biurze?
- Pewno, chodź.

Usiadł w poczekalni i czytał gazety, ja tymczasem ciężko pracowałem przez dwie godziny z redaktorem oraz wydawcą. W końcu posortowałem kopie depesz, przystawiłem stempel z moim nazwiskiem, włożyłem wszystko do dwóch dużych szarych kopert i zadzwoniłem po chłopaka, który miał je dostarczyć na Gare Saint-Lazare. Wyszedłem do drugiego pomieszczenia, gdzie zastałem Roberta Cohna drzemącego w głębokim fotelu. Spał z głową wspartą na rękach. Wolałbym go nie budzić, ale chciałem zamknąć biuro i już spadać. Dotknąłem jego barku. Pokręcił głową.

– Nie mogę – wymamrotał i osunął się jeszcze głębiej w złożone na blacie ramiona. – Nie zrobię tego. Nikt mnie nie zmusi.

– Robert – powiedziałem i potrząsnąłem nim lekko.

Uniół głowę. Uśmiechnął się i zamrugał.

– Mówiłem przez sen?

– Coś mamrotałeś. Ale nie dało się zrozumieć.

– Boże, co za gówniany sen!

– Uśpił cię stukot maszyn do pisania?

– Chyba tak. Zarwałem ubiegłą noc.

– A co robiłeś?

– Rozmawiałem – odparł.

Umiałem to sobie wyobrazić. Mam pieprzony nawyk wyobrażania sobie moich znajomych w sypialni. Poszliśmy do Café Napolitain na aperitif i żeby popatrzeć na popołudniowy tłum przechodniów na bulwarze.